



Jan Winiecki

## Starcza choroba interwencyjności...

**P**ewien prominentny ekonomista nazwał przekonanie, iż rząd (a zwłaszcza minister finansów) i bank centralny muszą spierać się co do polityki gospodarczej, a bank centralny pouczać o potrzebie dyscypliny finansowej, „dziecięcą chorobą rynkowości”. Traktuję to jako modne podszczyptywanie rynku, w dodatku całkowicie niezgodne z historią kapitalizmu.

Ile wspólnego z wolnym rynkiem czy myśleniem w kategoriach wolnego rynku mają interwencje fiskalne rządu i interwencje monetarne banku centralnego? Otóż nic. Klasyczna gospodarka wolnorynkowa, jaka istniała do pierwszej wojny światowej, w ogóle nie dawała przestrzeni do prowadzenia polityki monetarnej. W systemie waluty złotej bank centralny wymieniał banknoty na złoto i odwrotnie, a zmiany ilości pieniądza w obiegu i stopy procentowe były następstwem procesów zachodzących na rynku.

Jeśli w jakimś kraju były niższe ceny i dzięki temu np. wzrastał ponadprzeciętnie eksport tego kraju, to w kraju eksportującym następował odpływ towarów, a przyptyw złota (czy wymienialnych na złoto banknotów), a w kraju importującym – odwrotnie. W rezultacie w kraju eksportującym większa ilość pieniędzy przy mniejszej ilości towarów powodowała wzrost cen. W konsekwencji zahamowany zostawał nadzwyczajny wzrost eksportu. Gospodarka wracała do równowagi.

W kraju importującym rzecz się miała odwrotnie: spadek ilości pieniądza powodował, iż pieniądz „drożał” w porównaniu ze zwiększoną ilością towarów i w rezultacie ceny zaczynały spadać. Tempo wzrostu importu spadało, wracając do normy. Gospodarka wracała do równowagi.

Jak widać, równoważenie gospodarek obu krajów dokonywało się automatycznie, bez ingerencji polityki monetarnej. Podobnie rzecz się miała w wolnorynkowej gospodarce opartej na walucie kruszcowej w odniesieniu do polityki fiskalnej. Wydatki publiczne stanowiły stałą, raczej niewielką (ok. 10 proc.) część PKB. Owszem, zdarzały się wojny i wtedy rządy zaciągały długi, które trzeba było spłacać w czasach pokoju. Ale polityka fiskalna służyła zaciąganiu i spłacaniu długów wojennych, a nie równoważeniu gospodarki w latach ekspansji czy recesji!

W gospodarce takiej nie było w ogóle tematów mogących być kością niezgody między rządem i bankiem centralnym. Dopiero szybko rosnący od lat 30. XX w. interwencjonizm gospodarczy spowodował pojawienie się polityki makroekonomicznej (monetarnej, fiskalnej, kursowej), jak również mikroekonomicznych interwencji w poszczególne rynki, regiony czy gałęzie gospodarki.

Zniekształcenia generowane przez jedne interwencje powodowały kolejne interwencje, a ekspansywna polityka podtrzymywania koniunktury wprowadzała dodatkowe destabilizujące zniekształcenia. Tak więc po długim okresie nawarstwiania się problemów w coraz mniej elastycznych i coraz wolniej rosnących gospodarkach postanowiono wprowadzić niezależność banków centralnych w nadziei, że ta ich niezależność będzie ograniczać zgubne skutki działań polityków (bardziej zależnych od wyborców niż kierownictwa banków centralnych).

I wtedy właśnie zaczęły się pojawiać spory, bo np. rosnące stopy procentowe dla zwalczania inflacji osłabiają dynamikę wzrostu gospodarczego w krótkim okresie. A tylko krótki okres, taki do najbliższych wyborów, interesuje na ogół polityków. Podsumowując, spory między rządami a bankami centralnymi nie mają nic wspólnego z „dziecięcą chorobą rynkowości”, jak to określił ów prominentny ekonomista, lecz ze starczą chorobą nadmiernej interwencji...